

Szczepkowska bliska muzom

Aktorskie umiejętności weryfikuje – tak uważano – repertuar zarówno teatralny i filmowy, współczesny, a także, czy przede wszystkim, Fredro. Dodawano niekiedy: i Szekspir.

Do pełnej gamy aktorskiego emploi dodałbym jeszcze sztuki „surrealistów”, na przykład Stanisława I. Witkiewicza, Samuela Becketta.

W „Onich”, „Onych”, „Nich”, „Ich” – jak słyszy się w kolejce po bilety na przedstawienie w Teatrze Powszechnym, gra Joanny Szczepkowskiej była najbardziej witkiewiczowska. W owych sztukach rzeczywistość jest, jak wiadomo, w osobliwy sposób przetworzona. Jest rzeczywistością „witkiewiczowską”, choć nawiązującą do konkretnej epoki i jej realiów. Witkiewiczowski gest, ruch sceniczny (bardzo ważny element przedstawienia), modulacja głosu, wokalna interpretacja sensu i „nadsensu” słów i sytuacji. Już sama fryzura i sylwetka (węzowo szczupła) grała. Współgrała cudowność sukni. Sądzę, że Autor byłby tą rolą zachwycony.

Dzielnie, że tak powiem, sekundował Szczepkowskiej w „witkiewiczowszczyźnie” Benoit, kolejna świetna w „Onych” kreacja. Jakże potrafił zrozumieć i oddać (ku memu pewnemu zdziwieniu, tu zadziałał aktorski talent) witkiewiczowski, intelektualnie pokrętny gest i słowo.

Jan Englert, wiadomo jak aktorsko świetny, brylujący na scenie (także niezwykle fizycznie sprawny). Postać jednakże, czy raczej jej kreacja za mało przetworzona (bardziej, chwilami zresztą wspaniale, żywiolowa). Żółkowska również nader żywiolowa. Elżbieta Kępińska (nadspodziewanie) sprawna (pamiętnego 13 grudnia wieczorem udała się z mężem na towarzyskie przyjęcie...).

Władysław Kowalski osiągnął efekt totalitarnostycznej demoniczności silniejszy niż sądzi, silny niemal ponad miarę.

Zakończenie sztuki trochę przeciągnięte, stąd pewna utrata dramatycznego rytmu. Częsty to przypadek (przypadłość) w naszych teatrach – vide „Amadeusz” w Teatrze Na Woli, „Mistrz i Małgorzata” we „Współczesnym”. Widza aż psychicznie skręca – na tych świetnych skądinąd przedstawieniach – od przeciągniętego zakończenia. W ogóle na polskich przedstawieniach często chciałoby się zawołać: tempo, żywiej, niech furkocze akcja, niech wartko krzyżują się słowa. To przedłużanie słów i scen – tak się już dzisiaj nie gra ani „Króla Leara” ani „Miłości i gniewu”. W Londynie (od wieków mieście teatru), nikt nie byłby tak uprzejmy, aby wysiedzieć do końca spektaklu.

Wracając do Joanny Szczepkowskiej. Jeśli

była to wieczorno-niedzielną biesiada teatralna w „Powszechnym”, to jeszcze widz nie zdołał z niej ochłonąć, kiedy, nazajutrz, stanął (trudno powiedzieć usiadł) oko w oko z „Miriam” rosyjskiego autora Juriewa w teatrze TV. Samotna młoda Żydówka w oku cyklonu rewolucji, wojny domowej, band, przemocy. Ileż dyplomacji, polityki w czterech ścianach chaty. Instynktu samozachowawczego, życiowej mądrości w ogóle, a żydowskiej w szczególności, interesu, sprytu – w tej jednej postaci kobiecej. Z jaką maestrią wszystko to oddane przez Szczepkowską. Jakież bogactwo odcieni mimiki, tonu, psychicznego panowania nad każdym momentem dramatu (kolejnych dramatów). Ileż wzruszającego piękna w tej cudownie przebiegłej obronie kobiecej i ludzkiej godności – ba zdrowia i życia, przed okrucieństwem i ordynarnością wojenno-męskiego świata. Rola Joanny Szczepkowskiej *non plus ultra*.

Właśnie to wrażenie: bliska muzom, przyjaciółka Melpomeny (przyjaźń między kobietami). Co podkreślam tym bardziej że nie bywałem tej aktorki entuzjastą, biorąc za drażniącą przemądrzałość (jej) nieprzeciętną inteligencję. ■